

DUKAJ



KRÓL BÓLU



JACEK
DUKAJ
KRÓL BÓLU

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010

Redaktor serii
Anita Kasperek

Redakcja i korekta
Paweł Ciemniowski, Tomasz Kunz, Urszula Srokosz-Martiuk,
Anna Rudnicka, Małgorzata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Projekt wyklejek
Michał Dziekan

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 60 g vol. 2,0

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”
Druk i oprawa: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN Sp. z o.o.

ISBN 978-83-08-04537-4

SPIS TREŚCI

5	LINIA OPORU
229	OKO POTWORA
355	SZKOŁA
421	KRÓL BÓLU I PASIKONIK
541	CRUX
595	SERCE MROKU
643	AGUERRE W ŚWICIE
761	PIOŁUNNIK
823	POSTSCRIPTUM

Doświadczenie osobiste jest niewątpliwie pożyteczne. Ale gdyby się ściśle przestrzegało granic takiego doświadczenia, okropnie zacieśniłoby się twórczość poetycką, a nawet twórczość filozoficzną. Gdyby trzeba było czekać starości, aby się ośmielić o niej mówić, albo ciężkiej choroby, aby móc o niej wspomnieć, gdyby trzeba było samemu doznać wszelkiej udręki albo zamętu umysłu, aby je ująć w słowa, przekonalibyśmy się, że do napisania pozostaje zaiste niewiele. I jasne jest, że o wielu sprawach w ogóle by nie napisano, gdyż ten, co by ich doświadczył, mógłby nie być osobą odbarzoną talentem, zdolną do analizowania ich i wyrażania.

Konstandinos Kawafis, *Ars Poetica*
tłum. Zygmunt Kubiak

LINIA OPORU

Czy wartość wszystkich rzeczy nie na tym polega, że są one fałszywe?

Czy właśnie SKŁAMYWANIE i CZYNNIENIE FAŁSZEM, wkładanie sensu nie jest wartością, sensem, celem?

Czy nie powinno się wierzyć w Boga nie dlatego, że jest prawdziwy, LECZ DLATEGO, ŻE JEST FAŁSZEM?

Friedrich Nietzsche

Kreatywność nie jest żadną zewnętrzną siłą o ukrytych celach. Wszystkie ziszczone byty dzielą z Bogiem ową właściwość: ich przyczyna leży w nich samych. Wszechświat jest twórczym postępem ku temu, co nowe.

Alfred North Whitehead

Początek układu współrzędnych

Spójrz na dziecko — jak się bawi. Kilkuletni brzdąc wybiegł na łąkę, już rozradowany, już buźka-słoneczko, oczka-skowronki, nie zatrzyma się, smyrgnął tu, smyrgnął tam, kwiatki, motylki, psie kupy, stare puszki i żwir kolorowy — wszystko go ciekawi, wszystko go cieszy, ze wszystkiego rosną cuda, baśnie, krainy przygód i skarbów. Skacze po kamieniach, chmurach na niebie. Huśta się na gałęzi, ponad pokładem okrętu w sztormie. Śledzi mrówki, armie chitynowych robotów atakujące fortece szkła i plastiku. Spójrz. Jeśli jest sam, nie zobaczysz, ale jeśli jest z innymi dziećmi, zobaczysz i usłyszysz: ich gry, ich teatry, języki zabawy, mapy pantomimy, drugie, trzecie światy. Nie ma tu strachu i nie ma chęci zysku. Niczego nie muszą. Nakarmieni, zaspokojeni, nieśmiertelni, bezpieczni. Energia przepływa przez wiecznie podekscytowane ciała. Budzą się i zasypiają ku nieskończoności nieodpartych cudów. Spójrz!

CZEŚĆ PIERWSZA: NIEWOLA

Zimny restart

Wtorek. Ale jakby sobota.

Po co tu przyszedł? Miał coś kupić. Zapomniał co.

Królestwa, potęgi otwierają się przed nim i zamykają i otwierają.

Siedzi pod fontanną pośrodku galerii handlowej, patrzy na pięknych mężczyzn, piękne kobiety. Obok wejście do salonu ciała.

Jak to jest, że do lekarzy chodzą chorzy, ale do pięknorobów — właśnie ci piękni?

To przyspiesza, myśli sobie. I nawet tempo przyspieszenia rośnie.

Co mianowicie przyspiesza?

Nie potrafi wyśłowić.

Zanurzony w wylew magmy ludzkiej, czuje na skórze tarcie, czuje przeskoki i zazębienia konstelacji. Iskrzą wokoło krystalicznie, elektrycznie.

Nazywa się Paweł Kostrzewa, ma dwadzieścia siedem lat, studiuje już na czwartym kierunku, i jego też nie ukończy; jest zmęczony. Miał coś osiągnąć, ale zapomniał co.

Siedzi pod fontanną, szum wody przynosi ukojenie, +20% Comfort Buff.

Głowa nisko między ramionami, ręce na kolanach, stopy do wewnątrz. Zaciska powieki.

Wtedy jednak nieustanny stukot obcasów na lustrzanych płytach staje się nie do zniesienia.

Potrząsa łepetyną. Jak to wyłączyć? Wszystko go męczy. Takie życie, taki soundtrack.

Rano: wizyta u prochowca. Które dragi brać, żeby nie musieć brać żadnych dragów?

Prochowiec zawsze nalega, by spotykać się osobiście, chociaż oczywiście przychodnia jest pokryta. Ale po najcięższy gejdż personalizowany trzeba wędrować w gnoju.

Jak się dziś czujemy? I pomimo tej szpitalnej liczby mnogiej Paweł czyni wysiłek, by odpowiedzieć maksymalnie szczerze. (Co pewien czas zadaje sobie ćwiczenie: odpowiadaj ludziom, jakby naprawdę myśleli to, co mówią).

Jak się dziś czuje? Jak się dziś czuje? Jak się czuje?

Zwija się tam na krześle u prochowca niczym w ataku nerwobóli żołądkowych. Próbuje, próbuje — ale nie umie nazwać.

Nie wie, jak się czuje.

Chciałby się czuć w jakiś nadający się do nazwania sposób. Tak albo tak.

Zaczął brać prochy na depresję, by móc sobie powiedzieć, że jest w depresji. Depresja — i wszystko jasne. Gejdz najprostszy z możliwych.

Nie jest w depresji. Jest zmęczony. Ale to nie kogito emo — to stan energetyczny.

Prochowiec i tak nie słucha jego milczenia. Wyniki badań ma w duchu i na papierze, wygłasza formułki, podpisuje.

On nie jest od psychoterapii, on tylko porównuje przypadek z wytycznymi.

Paweł notuje, by dokopać się do tych wytycznych. Tam stoi, jak się czują ci, którym zadaje się taki gejdz.

Kupił nową porcję jeszcze w osiedlowej aptece, kwadrans na spersonalizowanie dragów, sekunda na zakłuczenie ich w duszy publicznej; zatem nie po to przyjechał do galerii.

Nie pamięta drogi do centrum.

Czynności często powtarzane wymazują mu się z rejestrów mózgowych. Musi sprawdzać szczoteczkę, czy mokra. Umył już zęby? Czy też to wspomnienie z wczoraj, z przedwczoraj, z miesiąca wstecz? Kolać — zjadł czy nie zjadł?

Jak odróżnić jeden posiłek od drugiego? To niemożliwe.

Mózg nie pomieści tylu powtórzeń.

Ta sama ścieżka, to samo miejsce na ROM-ie — plik nadpisuje się na plik.

Wtorek czy sobota — Paweł musi zerknąć w ducha. Rok i rok, lato i lato, Boże Narodzenie i Boże Narodzenie. „Pamiętasz, jak w lipcu siedemnastego...” Paweł kiwa głową, ale oczywiście nie pamięta. (Może sam wyjeżdżował).

Nawet nie rozumie, jak można tak indeksować wspomnienia: datami, godzinami. Jego pamięć nie dysponuje tą funkcją.

Kropla do kropli do kropli, strumienie nieodróżnialnych koralowodnych przelatują mu przez głowę. Woda jest tak czysta, nie pozostawia najmniejszego śladu.

Widzi siebie w witrynach i lustrach: postać poza grą. Nic się nie dzieje. Lagi i jeszcze większe lagi.

Dwaj bysie w ciężkich szarawarach usiedli obok.

Nowa ścieżka dialogowa. (Public chat).

Ściurbał, zajebuta. Yo, podziwioj. A mikrucha? Siedem cyców. Widziałeś krajca? Krajec jajec. To może by tę lizuchnę? Eee. To może tego? (I grzebią w kieszeniach przepastnych). W chuja dzidzius. Ale szlaka! No tak, szlaka pokraka. He he. Dawaj tego tam. Budiet. No to? Tyyy, zobacz lichu. Dwójka wyszła! Myślałem, że tylko demo. A! Już jest, noże, flaki, cipy, wsio.

Wstali, poszli.

Szum wody i obcasy kobiet.

One wszystkie chodzą na bardzo wysokich obcasach.

Flash, reklamy pięknorobów: stopy na nowym kościecu, skóra jak po retuszu, ażurowe rzęsy, mangowe paznokcie, piersi na mięśniach kosmetycznych.

Kogo stać? Już prawie wszystkich, proteo ulicy. A reszta i tak naśladuje.

Paweł zadaje sobie inne ćwiczenie: niech mi się któraś spodoba. Od razu, na sucho.

Gapi się.

Co z tego, że piękne. Fraktale i równania też bywają piękne.

Żeby chociaż pół erekcji.

Nic.

Ziewa.

Może to przez te dragi.

I wziął je już dzisiaj, czy nie wziął?

Nie pamięta.

To znaczy pamięta, ale niezindeksowane. Dzisiaj? Wczoraj? Przedwczoraj? Te dragi czy inne?

Wyjmuje buteleczkę, czyta ulotkę, liczy pastylki.

(Ale, panie doktorze, czemu nie spod skóry? Bo zaraz zapomni pan, że w ogóle jest na terapii, panie Kostrzewa. Ale, panie doktorze, wszyscy są na terapiach. Pigułka, panie Kostrzewa, pigułka podnosi samoświadomość pacjenta).

Liczy.

Nie wziął.

Łyka dwie według przepisu, popija wodą z fontanny, 24h Blessing. Zjawia się straż i wyprowadza go na ulicę, poza ducha galerii.

Pada deszcz. Dzieci wracające ze szkoły gonią się z krzykiem po niewidzialnych lasach. Walkirie spadają z nieba. Aureole Bandy Trojga przepalają mury i szkielety. Na niebie — hieroglify astronomii politycznych sąsiednich królestw.

Dzieci. Przypomina sobie: dzieciak siostry ma urodziny.

Miał mu kupić prezent, to dlatego.

Kupi jutro. Albo z domu.

Zapisuje w duchu.

W metrze rozczula go widok dwóch podpierających się łaskami starsuszek. Omal wybucha płaczem.

Co to za gejdź porąbany?

Skręca zaraz halsem na szerokie wody, pod nieba błękitne.

Giełda go nudzi, partii nie rozróżnia, wojen nie rozumie. Wiatr wewnętrzny królestwa spycha go ku kradzieżom, gwałtom, morderstwom.

I dopiero pojmuje, na co się umawiało tych dwóch w galerii. To taka moda: przygodny przechodzień, ten lub tamten, bez powodu, bez celu, bez sensu — wpadnie w oko i nóż mu w plecy.

Ale chłopaczków odciągnęła reklama jakiejś nowej rąbaniny w duchu.

Zabójstwo prawdziwe nie jest dość prawdziwe. Nasze stare zmysły biolo — to realizm na ćwierć gwizdka.

Metro się zatrzymuje i Paweł spostrzega, że przegapił swoją stację. Staruszki wysiadły.

Która godzina? Trzecia szesnaście.

Czy w ogóle ma dzisiaj jutro pojutrze coś do zrobienia?

Stoi na pustym peronie i próbuje, próbuje wymyślić cokolwiek.

Życie. Ale jakby nie.

Buchalteria nowa

Paweł popija na dachu kamienicy. Niebo gwiazdziste nade mną,
żywiec we mnie.

Budynek po lewej: szkło. (Nie szkło, ale wygląda jak szkło).

Budynek po prawej: cegła. (Nie cegła, ale).

Budynek naprzeciw: drewno. (Drewno! Nowiutkie).

Na dachu Pawła srają gołębie i zielsko kwitnie między dachówkami.

Z kominów wiatr prószы sadzą.

Deszczówka śmierdzi w rynnach.

Kamienica od pół wieku należy do trzech skłóconych braci i nie
należy do nikogo. Nic z nią nie można zrobić. Ot, kloszard wywleczony
z głębi PRL-u i usadzony pośrodku miasta.

Miasto zmienia się co sezon; kamienica wcale.

Dzieci malują na popękanej elewacji tagi i wulgarnoścй.

Dom numer cztery, „Starucha”. Dwadzieścia sześć mieszkań, luk-
sus nad luksusy, niech się drewno schowa. Tu ponadstuletnie ceglówki
kruszeją w dłoniach.

Paweł podnajmuje kawalerkę od ciotki dawnego kumpla z mar-
ketingu i socjainwentu. (Dawno już wypłukanego z konstelacji). Na
czytnsz wydaje większość tego, co wydaje.

Bo wszystko tanieje.

Nie wszystko, ale wszystko, co można wziąć do ręki.

Doctor Who pokazuje Pawłowi przyszłość rentiera. Miesiąc temu
były to 1542 dni, dzisiaj — 1873.

Prosta ekstrapolacja: za rok starczy mu już na 16 lat bez pracy. Zało-
żywszy obecny poziom życia.

Oczywiście nie wolno zakładać obecnego poziomu. Cały wic na
tym, żeby chcieć więcej więcej więcej.

On nie chce. Bo po co?

Siedzi na dachu i pije do muzyki nocnego miasta, All Resists -15%.
Wolna ręka splata z chwastów koszycki, wianki, warkoczе.

Soundtrack off.

Czasami wychodzi na dach Francuz spod piętnastki, inżynier snów.
Gadają o cenach nieruchomości w Minas Tirith i recesji w Wonder-
landzie.

Dzisiaj tylko miasto szumi w uszach.

Fluorescencyjne rekiny szybują w świetlistych kanionach między budynkami.

Paweł wyrzuca butelkę (rozbutelczy się, zanim dotknie bruku) i otwiera następną.

Był to kwadrans ciężkiej pracy.

Nie chce, nie planuje, nie pożąda — ale mózg się obraca.

Praca to jest to, co się rodzi z jego myśli, kiedy on nie myśli o pracy.

Teraz po kolei odpajkowuje rozwiązane problemy.

Udało mu się nawet wyprodukować nowy rodzaj tęsknoty: trochę cynamonu, biały włos na wietrze, powtórzona basowa nuta i oddech niewinnego chłopca.

W duchu oblicza całosciowe zyski na sto-dwieście milionów. Nowe nisze konsumenckie, nowe trendy. Gejzer powinien sprzedać tę tęsknotę za dziesięć do piętnastu procent.

I dalej kalkuluje się samo. Prowizja. Smycz.

Odległy huk miasta jak kac po orgii w głowie.

Klklklklk, wiatr przesuwają dachówki.

To przyśpiesza.

Paweł siedzi w bezruchu, żywiec w garści, gapi się w niebo. Zdaje mu się, że widzi lagi szarpiące chmurami, gwiazdami, światłami ulic.

Oddycha przez nos.

Dobrze. Przecież to tylko życie. Dobrze. Zaczę raz jeszcze.

Zaczyna: Mógłbym —

Mmmmmmmmm.

Nie ma dalszego ciągu.

Po pracy — jest zmęczony. Był zmęczony przed.

Jest zmęczony.

Pije.

Po prawej ruch lustrzany.

Balkon na trzecim piętrze ceglanej.

Mężczyzna unosi do ust filiżankę.

Paweł opuszcza butelkę.

Mężczyzna opuszcza filiżankę.

Paweł się gapi.

Mężczyzna się gapi.

Paweł kiwa głową.

Mężczyzna kiwa głową, podnosi dłoń.

W duchu się witają, wymieniają uśmiechy, przedstawiają. 10min
Social Buff.

Adrian Utrałt.

Paweł.

Pan Utrałt.

Pan Kostrzewa.

On nie przejdzie na „ty”. Paweł odstawia żywca. Adrian Utrałt, 48, królestwo Nokia-Penderecki, Kraków, Glasgow, Kraków, Sydney, Burewala, przedwczoraj przeprowadzka z hotelu, ubezpieczenia duszy, AKG Ltd., płciowiec petra, proteoseksualista homo, a to siostra, a to matka, a to towarzystwo, a to konstelacje, a to powiedział, a to zrobił, a to o nim powiedziano, a w tych ludziach żyje, a ci ludzie żyją w nim, a tak się bawił na weselu siostry, a tak chorował, a tak myślał, i prawdopodobieństwo, że go polubisz — nie polubisz — polubisz — polubiłeś.

Seks.

Książki.

Muzyka.

Gry.

Jedzenie.

Już się poznali, już znajomi.

Utrałt zaprasza do serca.

Paweł myśli: Czy tak mam zacząć? Od nowego sąsiada?

Chowa Adriana Utrałta do kieszeni, zabiera żywca i schodzi z dachu.

W mieszkaniu waha się między gejdżem a gejdżem.

Wahanie to miły stan. Poleguje na łóżku. Wahający się.

Oddycha.

Oddycha.

Oddycha.

Czeka na zapomnienie. Moment oderwania pamięci długoterminowej od pamięci krótkoterminowej, konsolidację przeszłości. (Zawsze na podorzędu: inhalator z zapominajką, inhibitorem PKM-Zet).

Szum nocy w głowie. Blank.

Wyobraża sobie życie ludzkie jako przestrzeń fazową wszystkich możliwości duszy i ciała. Człowiek absolutnie wolny jest w niej nieodróżnialny od człowieka absolutnie pustego: bez właściwości, bez charakteru. Każdy czyn i każda myśl jednakowo prawdopodobne.

Równy rozsmarowany. Ot co.

Leży w bezruchu godzinę.

Drugą.

W trzeciej wstaje, idzie do łazienki, sika.

Potem kładzie się z powrotem.

Zasypia w ubraniu.

Budzi się.

Wstaje, idzie do łazienki, sika.

Kładzie się z powrotem.

Budzi się.

Sucho w gardle.

Idzie napić się wody.

Poranne słońce szeleści na firankach. Odkryto Atlantyde. Zielone pastwiska rozwijają się dywanowo.

Paweł pije wodę mineralną długimi, powolnymi łykami. Bardzo mu woda smakuje.

Zastanawia się, czy połknął wieczorem pastylki, czy nie.

Wczoraj? Przedwczoraj? Jeszcze innego dnia?

Wczoraj — czyli kiedy?

Duch sięga do kieszeni.

Dzień, w którym poznał Adriana Utrałta.

Aha.

Etyka pracy

Za dużo gier, za mało książek. Słowo pisane, myśli, idee — najlepszy nawóz.

Z drugiej strony: za dużo w fotelu.

Wyjść, upić się, zgejdżować, wypłaszczyc, wypłajać, wyszlajać jak pies.

Sporty ekstremalne — o, zalecane, zalecane!

Naprawdę, Paweł, opuszczasz się w robocie.
Kiedy ostatnio dałeś po pysku? Kiedy kotkę wyjechałeś na forgerie?
Albo chociaż występkę jakieś uliczne. (Po co płacimy wam miesięcz-
ne papugowe?)

Z życiem, maładiec, z życiem! Tak Szeftu się rozpędza.
Tylko pierwsza młodość za friko! Za następne trzeba płacić.
Żreć i srać, żreć i srać!

A wszystko to na tle raportu kwartalnego.

Paweł bawi się cieniami 4D i potakuje grzecznie.

To też błąd. Potakiwacze są źle widziani, potakiwacze są wczorajsi.

Dzisiejsi są ekscentrycy.

Ale my siedzimy w biznesie jutra, dla nas dzisiaj to wczoraj.

Czego my chcemy? Szeftu się rozpędził. My chcemy, żebyście wy
nam mówili, czego chcemy!

Nie rób, co ci mówię — mów, żebyś ja robił!

Zaraż mnie!

Uwiedź!

Porwij!

Zgwałć! Zgwałć!

Paweł uprzejmie nalewa Szeftowi perriera.

CCO: maoryskie tatuaże, bodmody do kości, pogańskie awatary
i czarne bębny na soundtracku.

(Ale — pani pierwsza, pani Krysiu. Całuję rączki. I podsuwa krzesło
siwowłosej asystentce petra).

Zeszłej wiosny, pitchując projekt, tak się naczardzował, że wysko-
czył przez okno, połamał ręce i nogi.

Przed laty chadzał na długie pielgrzymki do Częstochowy. Ale mu
się odwiedziało.

Teraz organizuje orgie przy ogniskach w noc kupały i sprowadza
certyfikowane dziewice z muslimlandów. Ma to w duszy publicznej.
Żyją poprzez niego nastoletni Gordonowie Gekko i proteo sadyści kró-
lestw Reagana.

Tadeusz Prażny.

Zwyczajowy uśmieszek na korytarzu firmy: Przyprzążyło cię?

Otóż Paweł jest właśnie prażony.

Siedzi i myśli: A gdybym rzucił pracę. A gdybym wstał i wyszedł.
A gdybym lunął mu tym perrierem w mordę.

(Pewnie by się Prażny zachwycił).

W duchu disneyowe ptaszęta rozwieszają kolorowe girlandy na ścianach gabinetu.

Wzdech.

A Szefu jedzie dalej. Kla-kla-kla, kla-kla-kla, kla! Tagi: Businessstalk, SincerelyYours.

Paweł przygląda mu się z tradycyjnie tępym wyrazem twarzy.

(Nie zmyli nikogo).

Prażny zstąpił do Gejzeru Cudów po wejściu zulusów. Spółki afrykańskie to teraz największy rejdz. Gdzie kto widział w eurolandach plus naście procent PKB gnoju, sen Balcerowicza. A zulusi żrą.

Biznes jedzie na modach jak wszystko inne.

Więc holding kreatywów, który łknął Gejzer jeszcze w powijakach, wymyślił wpiąć się w zulusów. Przyjechał petra Masaj. Połaził, polukał, poruchał sekretarki, pożonglował kadrami, dorzucił portfolio klientów, i pojechał. Zagląda co kwartał.

A w ramach żonglerki wyrwał z innego szczepu holdingu — kogo? Prażnego.

(Który właśnie przeskoczył biurko i szczypie Pawła w policzki, mój ty ślimaczku lukrowany, ti-ti-ti).

Paweł rozpoznaje dwa gatunki biznesmenów: Rewolwerowców i Farmerów.

Inaczej niż w westernach, Rewolwerowcy przychodzą najpierw. Z nich była Pierwsza Brygada kapitalistów od warzywniaka i kantora, przemysłników wódki i lewusów budowlanych.

Farmerzy przychodzą wtedy, gdy widać już, że ziemia żyzna i plon ładny. Nie ryzykują.

Pierwsi muszą być po trosze wariatami. Rzadko bywają inteligentni. Inteligencja tam przeszkadza.

Drudzy — o, to full menadżerka i Mensa, MBA i dopalacze hormonalne.

Ale Rewolwerowcy pierwszego siewu to banda oryginałów.

Paweł poznał ich kilkunastu, teraz już dziadków wypruwających się na medmody. Niektórzy to ewidentni krety, inni — buce i chuje o social skills poniżej zera.

Prażny to Rewolwerowiec w ciuchach Farmera.

Za późno się urodził. Ale korporacja potrafi zarządzać także zbyt późno urodzonymi. Są dla nich tytuły, funkcje i podręczniki menadżerki ekstremalnej.

Szefu wraca za biurko i wypija wodę jednym haustem. Słonie wachlują się uszami, aligatory zamykają paszcze, Afryka bierze oddech.

Tymczasem ja z ciebie pożytek będę miał! (Powiada. Kła-kła-kła).

Jesteś w niżu, Paweł, ja to rozumiem. Jakies smęty nostalgiczne, zeitgeisty lepione na nudzie i sens życia w jelicie cienkim.

A mnie teraz potrzeba hamulcowego.

Gestem Zeusa Gromowładnego Szefu rzuca w duchu Polecenie Służbowe.

Paweł się nie uchylił.

Pójdiesz do Bartka. On daje zaraz spicz. Zespół jest pełny, dobrali już kretyków. Staniesz obok.

Mam mu zaglądać przez ramię? Będzie kwas.

A kto lepszy? Robiliście tu chwilami za układ podwójny, krążył wokół ciebie jak ślepy satelita, ty go chrzciliś pod Gejzerem.

Ale. Nie moja rola. Z batem tak nad głową.

Prażny zeusuje ponownie, grzmot w głębie, niebo w pięściach.

Słuchasz ty mnie! Ogień w człowieku gaśnie i zapala się — ale doświadczenia przecież nie straciłeś. Masz referencje dłuższe niż DNA Pana Boga. Zobaczysz ścianę, zanim w nią walną.

I po raz drugi ciska zygzak ognisty.

Paweł gejdżuje się wazopresyną i chwyta już w lot — piorun, myśl i Polecenie, +1 Action Speed.

A! Prawnicy wykręcili ci ręce. Mam dobrze wyglądać w papierach. Że był nadzór.

Masz dobrze wyglądać w papierach. (Z twoją REPUTACJĄ!) Ale to nie pic. Mamy wieloryba na wędce.

Soundtrack: narastający łomot tam-tamów. (Nadchodzi potwór).

Wot, siurpryza. Zdegradowany przez awans. Awansowany degradacją.

W progu jeszcze dopada go ostatnia mądrość szefa: To, czego ci trzeba, Kostrzewa, to porządny nałóg.

Paweł wzrusza ramionami.

Porządny, czyli jaki?

Z wódki czy z innych naturalnych dragów wykręcisz się bez śladu po genkuracji i płukaniu neuro. Tytoń w ogóle nam nie szkodzi. Seksoholikami powinniśmy być od kołyski. Gejdz przychodzi i odchodzi. A za pracoholizm tylko pochwałą.

Nie ma lekko. Ciało, fizjologia — już nie rządzi. Trzeba samemu.

Pod rękę z tą myślą wędruje ku atraktorowi socjalnemu. (Ciasteczka i kawa, kokosy prosto z palmy, słonecznik prosto z ogródka).

Tubylcy poznają po minie.

Przyprażony?

Przyprażony.

Nasz pan

Wszedłszy.

Łapiesz się, Paweł? Łapię się.

Usiadł, wcisnął się w ducha, ziewnął. Agro — 100.

Główny playground Gejzeru przypomina magazyn rozpustu zaadaptowany na przedszkole. Gdzieś chcesz — usiądź, gdzie chcesz — legnij, gdzie chcesz — baw się.

Formalny nieformalizm wykalkulowanego relaksu. W duchu i w gnoju. Pstrokaczna ścian i trendów.

Jak nie zamkniesz głowy, wwieje ci do snów śmietnik wszechświata.

Grupka w kącie montuje robota Lego. Będzie rozpruwał piłą mechaniczną pluszowe misie.

Krzysiu czyta paperbook, po uszy w gejdzu nerdycznym; otagowała się.

Krwawy Hegemon, nadal jednogłowy, pochrapuje w cieniu piramidy Cheopsa. (W Egipcie pada).

Parka przy plastole obściskuje się w chichotach. Ale wywiesili flagi BDSM.

Paweł marzy o garniturowych nasiadówkach przy konferencyjnym mahoniu, o twardym szyku petra. Ach, te czasy cudowne, gdy korporacje były korporacjami i alienacja płynęła hektolitrami w szklanych korytarzach!

W duchu rozdziera sweter i detonuje kamizelkę bomb rurowych. (Agro +5000).

Nikt nie zwraca uwagi.

Będzie siedział w kącie i moczył nogi w gorącej wodzie Gejzeru. Igrając z bąblami diabełkami powidokami duchami.

Kretyni w zespole Bartka to Idzia, Buzaty i dwóch Tomków (Tomek Mniejszy i Tomek Najmniejszy).

Mądrość grupy: im szerszy rozrzut, tym trafniejsze decyzje. Konstelacja trzech ekspertów przegrywa z konstelacją trzech ekspertów i siedmiu laików. Dlaczego na wolnym rynku akcji, zakładów i derywatów milion kretynów plus tysiąc zawodowców zawsze pobije samych zawodowców? Ano dlatego właśnie.

(Napis nad windą na piątym piętrze Gejzeru: GRUPA JEST MĄDRZEJSZA OD NAJMĄDRZEJSZEGO CZŁONKA GRUPY).

Na dodatek w kotłach kreatywów nie chodzi przecież o wiedzę ani inteligencję — lecz inwencję. A gdzie bije źródło idei w wyobraźni kolektywnej — tego żaden Jung nie odkryje.

Kretyni są najmowani na sezon, potem się zanadto wycwanniają. Spadają im z główek aureole ignorancji. Ci tutaj siedzą już w Gejzerze piąty miesiąc, robili w dwóch-trzech projektach Pawła.

Idzia puszcza do niego oko. Tomki wymieniają się snami porno. Tymczasem —

Panie! Panowie! I wy, pojebce kochane!

Bartek zasiadł na koniku bujanym.

Się zaczęło.

Ziew.

Soundtrack: dźwięki pociągów towarowych w nocy na odległym torowisku. Syrena. Echo. Miasto jak sen Blade Runnera.

Bartek mruga w duchu prywatnym do Pawła, po czym startuje prezentację od historii makroekonomii. Nikt nie udaje zainteresowania. Musi ich zassać.

Skok do spekulacji nieruchomościami.

Skok do anarchosyndykalizmu.

Skok do sprawy Ławrińskiej.

Słuchają, patrzą, ale po nich nigdy nie widać.

Bartek nabiera powietrza. Będziemy się posługiwać terminem „cake-state”. I rysuje w powietrzu.

Teraz główna idea. Zapnijcie pasy.

Ławrińska, casus posthumów. Petraskopcy zakotwiczeni w ekstropiistycznych klinikach Kalifornii wystąpili o uznanie swojej reprezentacji międzynarodowej. Ich Republika Ławrińska nie posiada ani metra kwadratowego ziemi, posiada natomiast kontynenty i oceany ducha. Operuje stamtąd kilkadziesiąt korporacji (królestwa radosne) szacowanych na siedemdziesiąt-osiemdziesiąt miliardów euro rocznego przychodu.

Casus: pływające minipaństwa randystów. Koniec dwudziestego wieku, początek dwudziestego pierwszego. Stawiali je na starych platformach wiertniczych, na wysepkach usypywanych na rafach, na wykupionych tankowcach. Prawo łądu sięga dwieście mil od brzegu. Dwieście jeden — i zyskałeś niepodległość.

Własne kodeksy karne i cywilne. Własne systemy rządów. Własne idee.

Cokolwiek. Kanibalizm. Niewolnictwo. Wolny rynek. Demokracja. Tyrania. Teokracja. Anarchia.

Ale w materii trudniej. Materia ogranicza.

Państwo musi istnieć na określonym terytorium, musi posiadać przestrzeń suwerenności.

Spójrzmy teraz na plażę.

Ziemi więcej Pan Bóg nie stworzy.

Oceany też skończone.

Kosmos — zbyt duże koszta, a niższe orbity już zmilitaryzowano.

Lecz jaka była przyczyna ostatniego krachu na rynku nieruchomości?

Przestrzeń do życia i gry rozciągnęła się w nieskończoność, ceny dążą do zera. (Nie dokładnie do zera, ale rozumiemy).

Otóż nie żadne cyber-ideały, nie Technologiczne Osobliwości i szatańskie AI, lecz prosty rachunek ekonomiczny wypycha nas z gnoju w ducha.

Czego trzeba, żeby postawić w duchu własne państwo?

Trzeba zabezpieczenia jego podstawy fizycznej. Państwo ducha musi posiadać przynajmniej swoje serwery fundacyjne.

A serwery podlegają prawu państwa materii.

Hence the cake-state.

I Bartek rysuje przed dzieciarnią Gejzeru:

tort

warstwy rzeczywistości i warstwy prawa, warstwy ekonomii

Państwo 01

na nim Państwo 02

na nim Państwo 03

na nim Państwo 04

Wysokość tego tortu potencjalnie jest nieskończona.

Krzysiu podnosi łąpkę. Jak się zabezpieczą przed draką z poziomu niżej?

Bartek z powrotem do casusu Ławrińskiej.

Robi się to tak: Stawiasz Państwo 02 na prawie dowolnego Państwa 01. To Państwo 02 wciąż jeszcze będzie pacynką Państwa 01, nie ma prawdziwej autonomii. W wyborze startowego Państwa 01 kierujesz się stopniem gwarantowanej wolności gospodarczej. Spokojnie budujesz gospodarkę swojego Państwa 02. Kiedy będziesz miał wystarczająco dużą rezerwę budżetową, dodatni bilans wymiany handlowej z Państwem 01 i zabezpieczone kontrakty wewnętrzne, znajdujesz inne Państwo 01: takie o PKB o rząd wielkości mniejszym od PKB twojego Państwa 02. Stopniowo transferujesz swoje Państwo 02 na serwery Państwa 01 Bis. Uzależniasz jego gospodarkę od swojej i przejmujesz nad nim kontrolę. Państwo 01 Bis pod twoim naciskiem wprowadza prawo przesuwające władzę wykonawczą, sądowniczą i ustawodawczą na poziom 02. Równocześnie wycofujesz się do reszty z Państwa 01. Państwo 02 w całości zintegrowało się z Państwem 01 Bis. Na wyrysowanym torcie najgrubsza jest warstwa druga od spodu.

Ten sam algorytm zastosować można do Państwa 03, Państwa 04 i tak dalej.

Na czym zarabia nasz klient? Nasz klient wykupił patenty ducha (kilkaset mega dla Skeuta Red), i będzie sprzedawał startupy Państw 03.

Spośród wszelkich możliwych Państw 02 nas zajmie to, którego główną ideologią będzie absolutna wolność tworzenia Państw wyższych.

A dla nas tutaj różnica między drugą a trzecią, czwartą czy siódmą warstwą tortu jest czysto umowna.

Chcesz dom — idziesz do pośrednika nieruchomości.

Chcesz kotkę na noc — wchodzisz do socjale.

Chcesz dziecko — pukasz do pośrednika biolo.

Chcesz państwo — a, ten produkt my dostarczymy. (Za odpowiednią opłatą).

Rzecz jasna dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych garażowych państw padnie w pierwszym roku budżetowym. Albo będzie się obracać w nieskończoność na pustej zawartości, jedynie dla hobbystycznej frajdy założycieli.

Nie przejmujemy się. Nie nasze zmartwienie.

Krwawy Hegemon dłubie palcem w uchu, aż mu dzwonią wiszące ogrody.

No dobrze, panie bracie, ale co właściwie mamy wykonać dla klienta? Ideolo? Ładną bużkę dla duszy publicznej? Religię państwowości? Plugin do królestw?

„Kup synowi państwo na urodziny!”

Bartek wypływa mgławicę danych.

Klient macał już targety. Patrzajcie, riebiata.

Patrzmy. Się okazuje.

Otóż nie musimy niczego pompować, to już w ludkach siedzi. Od pół wieku trenują się pokolenia, od FarmVilles, od Cywilizacji i Simsów, i jeszcze wcześniej, od pierwszych Hirosów, pierwszych długofalowych gier strategicznych.

Teraz nawet nie zauważą przejścia.

Bartek rozkłada ramiona.

Zrobią sobie państwo, bo już wcześniej robili sobie tysiące państw, też w duchu.

To ostatni krok domykający continuum od gospodarki materii do gospodarki ducha.

Budzi się Wietnamczyk od mordercy misiów.

Smaczne. Wiadomo, gdzie się skończy? I czy dąży do równowagi? Jakiej?

Cóż, jest to sztuka unoszenia samego siebie za włosy.

Anuszka, rusałka Bartka, przeprowadza dowód w publicznym. Przestrzeń dla rozwoju Państw 01 jest ograniczona, podczas gdy przestrzeń dla rozwoju Państw 02 i wyższych jest nieskończona. Toteż nieuchronnie nadejdzie w przyszłości ludzkości moment, gdy wszystkie Państwa 01 i w ogóle cała Ziemia, cały gnój i biolo — przejdzie w ekonomiczne władanie takich rajów ducha postawionych na startupach naszego klienta.

Wykupią nas spadkobiercy gildii erpegowych i cwanych enpeców.

Pewne to jak epoka lodowcowa i czerwony olbrzym. Tylko o datę się założyć.

Zresztą nic nowego. Paweł zna to z SF, widział sam w szlajach. W swojej gildii i swoich kabałach, i w cudzych.

Tylko że dotąd brakowało oprogramowania prawnego dla podobnej integracji. Przez lata stanowiło ono święty Graal gildii totalitarnych i pionowych aliansów.

Paweł z ciekawości zerka w głębsze pliki. Kodu źródłowego klient oczywiście nie ujawni, ale nawet w materiałach poglądowych matematyka tego wehikułu prawnego przyprawia o zawrót głowy. Musiały ją spłodzić sekretne genetyki semiotyczne, dedykowane ewolucje AI.

A Krwawy Hegemon powtarza na głos. Bartuś, cukiereczku, co tu dla nas?

(Bartek płonie acetylenowo, pionier niezłomny, zelota przed poganami, pierwszy jego taki projekt samodzielny).

Nie rozumiecie? Ten content wymaga opakowania we wszystkich modach.

Które państwa są bardziej seksowne? Jakie konstytucje lepiej się nosi? Który system podatkowy romansuje z którym kodeksem karnym?

Mojo:

Hitler tygodnia

Dżyngis-chan miesiąca

a ile państw TY dzisiaj podbiłeś?!

Paweł pojmuje teraz ostrożność Prażnego. Trudno przypuszczać, żeby stare mocarstwa — spód tortu, zero jeden, zero dwa — nie zareagowały w odruchu obronnym.

Państwa petra — Rzeczpospolite Polskie, Waszyngtony, Bruksela, Gazpromy — można zawsze ograć w konstelacjach. Polityka jest dziedziną astrologii, rodzi się z ruchu gwiazd na niebie. Wystarczy się skrzyknąć ze znajomymi. Rząd wybieramy, żeby administrował — nasz albo ich, lepszy albo gorszy BOFH.

Ale królestwa?

Będą się bronić. Nie tajnymi agentami, nie nalotami i pozwami miliardowymi.

Nie. One wynajmą swoich kreatywów.

Czeka nas ostatnia ofensywa biolo, RvR.

(Fanfary).

Paweł łapie potem Bartka w prywatnym.

Jak to w ogóle spadło do nas? Masaj przyniósł w zębach? Przecie to globalny push, robota dla Londynu albo Nowego Jorku.

Zdziwko. Nie zająrał pod spód? Niech zająrzy, niech zająrzy. Kto jest klientem.

Paweł grzebie w plikach. (Ruchy naćpanego misia koala).

Się okazuje. Nasz pan: FATAGA.

Masowy szantażysta

Paweł wyszedł do parku na lancz.

Zielono. Słońce. Ptaszki. Kanapki cebulowe. Zapach trawy. Małe dzieci. Petra eko.

Soundtrack: *Astronomy Domine* Pink Floyd.

A teraz, proszę państwa, przez piętnaście minut wykonywać będziemy miarowe ruchy szczęk i konwulsje mięśni przełyku.

Stan duszy: myślisz o fizjologii picia i skoro myślisz — krztusisz się najmniejszym łykiem herbaty.

Paweł zakłada się sam z sobą, które dziecko pierwsze się rozpłacze. (W gnoju zawsze płaczą).

W takich to okolicznościach przyrody —

Przysiada się kotka.

Nóżki, cycki, buzia, mniam.

Jemy. Udając, że nie patrzymy.

A tu Słońce, a tu dzieci... Ćwir, ćwir.

Kotka: Paweł Kostrzewa, szesnastego marca zeszłego roku pod hablówką w Zakopanem uczestniczył w bójce, ofiara nie złożyła doniesienia, złamana ręka i odbite nerki, do pięciu lat bez zawieszenia.

Paweł się krztusi, 5s Stun Effect.

Kotka jedzie dalej: Paweł Kostrzewa, drugiego sierpnia trzy lata temu, plaża w La Cala de Mijas, zakupił nielegalną inżynierię kogito za sumę tysiąca siedmiuset euro.

Paweł przełyka.

Dobra, guglnęła mnie po pysku. Ale te dragi i chuj Krabiński na nartach wtedy? Skąd?

Czy takie rzeczy pływają w duszy publicznej? Niemożliwe. Nikt nie wiedział. La Cala de Mijas nawet opylona nie była. Nikt nie wiedział.

(Dialogi). Czego chcesz? Jak to „czego”? To jest szantaż. Pójdiesz ze mną do czardzówki pod platanami i przeładujesz mi do wozu za wszystko, co masz na koncie pod dziennym. Szantaż? Szantaż? Dlaczego ja? Skąd mnie w ogóle wystraszełaś? Nie ty. To masówka. Załatwiam kilku dziennie. Chodźmy. (Paweł nadal żuje chleb). I co, wszyscy płacą? Nie. I nie ma drugich podejść — bo to na drugich podejściach się durnie wywalają: ponawianych kontaktach, zbieraniu wykupu, handlu dowodami, a tam już policja zza krzaka. Musi być jednorazówka, z zaskoczenia, piętnaście-trzydzieści minut i żadnego powtórnego spotkania. Niskie sumy, hurt. Sprawdzamy każdego. Wystarczy zarzucić sieć. Wylosuj stu ludzi, prześwieł do kości, bonanza. Bo odwróć sobie w głowie: to o grzechy najłatwiej, trałujemy je z ducha masowo, plastikowa tandeta po trzy grosze. Mało kto nie ma się czego wstydzić. Zapłaci — okay. Nie zapłaci — wypuszczamy anonimowy donos. Jego wybór. To jak wybrał? Ale skąd wiesz o mnie takie rzeczy? No chyba nie myśli, że mu powiem!

Paweł jest zafascynowany.

Znajdę cię przecież. Widzę cię. Pływasz gdzieś w publicznej. A park jest pokryty.

I co? (Kotka emotuje IDontGiveAFuck). Będzie się opłacało?

Paweł jest zafascynowany. Ów sposób zarobkowania wydaje mu się tak staroświecko rzykancki... Więcej mówi o pułapce życiowej szantażysty niż wszystkie grzechy ofiary o ofierze.

Przygląda się dziewczynie. Jaka siła ciemna pcha ją do tej rosyjskiej ruletki.

Nieodległe królestwo, oczy Corrinny, włosy Anny Teneiry, usta Miko-Ino, piersi z „Nocy Azteckiej”, nogi standard Barbie, dłonie Saint-Laurenta. Bluzka bordo Night in Rome i szorty Ali Agca. A ten uśmiech statecznej ironii — Rolls-Royce.

Jaka siła ciemna. Pieniądze. Nie. Niemożliwe.

Naprawdę potrzebujesz pieniędzy? Ile?

Ona pokazuje mu w duchu wielki zegar na wieży ratuszowej i ustawia żelazną wskazówkę na za dwadzieścia dwunasta.

Będziesz przeciągał?

Paweł idzie z nią do pompy elektrycznej pod platanami i ładuje jej BMW za 20K. Szantażystka odjeżdża.

Potem wrzuca jej nagranie do płatnego researchera. Ilona Rosa, 35, wzornictwo przemysłowe, rozwiedziona, rozwiedziona, bezdzietna, proteo & proteo, a to ojciec, a to były, a to była, a to konstelacje, a to powiedziała, a to zrobiła, a tak uprawiała seks, a tak się szła —

Dramatyczna przeciętność.

Co takiego Ilona Rosa kryje w duszy prywatnej?

Dopiero wróciwszy do domu i zaległszy nieruchomo pod ślepym sufitem, domyśla się Paweł źródła sukcesu masowych szantażystów. Ich Pierwszej Rachuby.

Skoro odgrzebali moje grzechy. Tym bardziej wiedzą, że zapłacę i nie zaryzykuję policji.

Nie ze strachu.

Nie z kalkulacji.

Nie dla świętego spokoju.

Widzieli mnie. Jak tu leżę z podciętą wolą. Dzień w dzień, noc w noc.

Mój Boże.

Ilu nas jest.

Że powstał przemysł.

Drzewa kaleczone dla świeżej żywicy. Stoją nieruchome, żywica
ścieka złotymi kroplami.

Wystarczy sięgnąć.

Kto ma siłę i wolę.

Chodzą i zbierają.

Czemu się mają kryć? Przyzwyczaili się. Złoto spływa gęstą strugą
do otwartych ust.

Więc wiem.

I co teraz zrobię?

Nic.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl